

Wiech
Opowiadania przedwojenne

Tom XI
Pożycz mi rewolweru!

Wiech

Stefan Wiechecki

Pożycz mi rewolweru!

czyli
opowiadania sądowe

Zebrał i opracował
Robert Stiller

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Mniej znane realia i wyrażenia
objaśniono w słowniczku na stronach 223–229

Wolę książkę, która ma niepoważne zamierzenia i poważne osiągnięcia, od dzieł, które mają poważne zamierzenia i nie-poważne osiągnięcia.

Antoni Słonimski

Uważam Wiecha za jednego z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, niewyczerpanego w pomysłach i zajmującego wyjątkową postawę moralną. O Wiechu można nawet powiedzieć, że jest wielkim filozofem.

Michał Choromański

Wiech to gentleman, szalenie dowcipny, nigdy jadowity, często wzruszający. Jego felietony są wynikiem obserwacji bardzo uważnej, pracy w swoim rodzaju całkiem twórczej i na wskroś oryginalnej.

Maria Jasnorzewska

To się nazywa pies!

– A pan, panie Gaik, co tu robi? – zagadnął w poczekali starostwa jeden klient drugiego.

– Ja, panie Żołądkowski szanowny, względem mojego Bukieta.

– A detalicznie o co się rozchodzi, hycel go złapał, czy jak?

– Niedoczekanie jego magistrackiej łachudry, żeby miał Bukieta złapać! On żeż by, panie szanowny, instrument hycelowi odebrał, czapkie by mu ściągnął, kazonny mundur w drobny mak na niem podarł, a kto wie, czy inszych psów z budy by mu nie powypuszczał!

– Po mojemu, pan Gaik ciut ciut zalewa.

– Bo pan Bukieta nie znasz. Cwaniak to jest jak rzadko z wyższem wykształceniem. Smykałkie ma takie, że jak jestem podgazowany, wystarczy mu tylko powiedzieć: „Bukiet, do domu!” Za frak mnie bierze i z knajpy do domu taszczy. A jak żonę w karafkie umie foniaga nabijać! Kapelusz mój leży stale i wciąż na komodzie, żeby żona miała go na oku, czy czasem nie mam zamiaru na miasto prysnąć.

Totyż kiedy zamiaruje po cichutku doskoczyć na jedną większą, jakby nigdy nic bez kapelusza do przedpokoju wychodze, niby tyż to w sprawie naturalnego zapotrzebowania. Ale wystarczy, żebym na wierne stworzenie mrugnął, w trymiga mój kapelusz tak żonie spod ręki gwizdnie, że się ta moja najukochońsza cholera nigdy nie sporutuje. No i ma się rozumieć idziem wtenczas oba na miasto.

Nie mogie powiedzieć, żeby Bukiet był ankoholikiem, ale także samo jak i ja mleka nie lubi. Za to bepszyk po tatar-

sku z musztardą i korniszonami opycha jak stary, nawet ogona nie skrzywi.

– Faktycznie rzadka zwierzyna domowa! Ale powiedz że pan mnie nareście, jaki interes starostwo do niego ma?

– Słuchaj pan, panie Żołądkowski, bo to pouczające. Każdy pies kawałek dobrego mięsa wrąbie z przyjemnością, ale lubi mieć starą kość, taką z letkiem gazikiem. Zęby sobie na niej ostrzy i rozrywkę swoją ma pod łóżkiem. Ma się rozumieć, Bukiet także samo taką kość posiadał.

Wczoraj małżonka moja gotowała zupę pomidorowe na kościach, którą strasznie obóstwia, a ja nie znoszę. Siedliśmy do obiadu, Ona wsuwa, zjadła jeden talerz, zasunęła drugi, ale jakoś nosem kręci, że zupa jej czemciś zalata.

„Zobacz no, boginio moja, czyś ty jej czasem na zabawce Bukieta nie ugotowała, bo faktycznie w pokoju czuć jak powietrze.”

Obszukała żona mieszkanie, kości nie ma. Zagląda do garnka: jest! No i ma się rozumieć, z punktu zaczyna cierpieć na żołądkową słabość. A potem za kij i chce psa naparzać. Stałem w obronie przyjaciela i zrobiła się Sodom i Gomora. Sąsiedzi przylecieli nas rozbraniać, a Bukiet do nich. Wyjechał na nich z mieszkania, po schodach wykotłował, galanterie jem podarł, a sześć osób poważnie pokaleczył.

To ja, rozumie pies, co? Mam się czem pochwalić. Nie tylko przez samopoczucie wolnego żartu stare kość do zupy potrafi wrzucić, ale i do najścia domu nie dopuści.

– No, no? Aż się wierzyć nie chce.

– Jak pana szanuję, słowa lipy w tem nie ma. Zresztą chodź pan ze mną na salę, pod przysięgą sędziemu wszystko powtórzę.

Zaciekawiony pan Żołądkowski udał się do sali posiedzeń sądu starościńskiego, wysłuchał raz jeszcze przedziwnej opowieści, która, o dziwo! nie zachwycała sędziego, bo skazał pana Gaika na 30 złotych grzywny za brak dozoru nad psem.

Moje sobowtóry

Tak już podobno jest, że każdy człowiek ma gdzieś w świecie swego sobowtóra, podobnego doń w najdrobniejszych szczegółach. Po prostu natura, nie chcąc wysilać swej fantazji, odbija parę ludzkich egzemplarzy według jednego wzorku i puszcza w kurs, starając się tylko w miarę możliwości, aby się zbyt często nie spotykały i nie utrudniały wzajemnie życia. Czasem jej się to nie udaje, kopie się odnajdują i powstają zabawne konflikty.

Sam padam dość często ofiarą takich wypadków. Widocznie powielono mnie w zbyt wielkiej ilości odbitek.

Bo jakże na przykład inaczej wytłumaczyć fakt, który spotkał mnie wczoraj w redakcji.

Otrzymuję telefon, że w holu oczekuje niejaki pan Śmietanko, mój dobry znajomy, który pragnie się ze mną zobaczyć.

Jakkolwiek nie przypominałem sobie wśród swych znajomych pana o tym nazwisku, wyszedłem na jego spotkanie.

Przy oknie stał czerstwy brunet w butach z cholewami, baraním półkożuszku z żółtą, skórzaną, szoferską czapką w rękę. Poinformowawszy się, że jest to właśnie pan Śmietanko, podszedłem doń żwawo. Pan Śmietanko już z daleka wyciągnął do mnie ramiona i zawołał:

– Gieniek, słoniu mokotowski, jak się masz! Daj pyska! – I zanim się spostrzegłem, wycalował mnie z dubeltówki, po czym odsunawszy się o krok w tył ogarnął mnie zdziwionym spojrzeniem i rzekł z pewnym wahaniem: – Aleś się, bracie, zmienił przez te pare miesięcy! No, no, no! – Po czym przyrmużył oczy, podszedł do mnie blisko i wyjąkał: – Przepraszam, to... chyba nie pan?! Czy z panem Wiechem mam zaszczyt?

– No... tak.

– Dziwna rzecz! A czy pan szanowny leżał w szpitalu na Czystem, na trzeciej sali przy piecu, i na nogi pan nie mógł chodzić?

Sięgnąłem w głąb pamięci. Nie! Nie leżałem nigdy w szpitalu na Czystem, a na nogi zawsze chodziłem bez żadnych trudności. Jakaś straszliwa zagadka, którą pan Śmietanko natychmiast jednak rozwiązał.

– Znakiem tego zostałem uderzony w kant. Uważa pan szanowny, pare miesięcy temu w tył leżał ze mną w szpitalu niejaki Gieniek Kopyciński, któren zaznaczał nieraz, że streszcza do „Kuriera Czerwonego” pod pseudonimem „Wiech”.

Chcąc się dowiedzieć czegoś bliższego o swym cudem odkrytym sobowtórze, poprosiłem pana Śmietankę usiąść i zasypałem go gradem pytań. Jak wygląda ten drugi Wiech, czy jest sympatyczny, przystojny?

– Faktycznie wstydu panu nie robi, owszem, wesoły jest chłopak, humorystyczny żart zawsze odstawić potrafi czy w dzień, czy w nocy. A tak obsztorcować kogoś, jak on, to rzadko kto umi. Sadysfakcja posłuchać. Ja jako szofer jestem obsłuchany co pod względem publicznego wyrazu i tyż swoje wymowe posiadam, ale naprzeciw Gieńka Kopycińszczaka za małoletniego dzieciaka mogie uchodzić.

Pamiętam, jak raz zesobaczył posługaczkie za to, że mu za małe jajka na miętko na śniadanie przyniesła, to trzy godziny musieli ją doktorzy czucić.

Inszą znowuż razą kołdrą się nakrył i wściekłego buldoka zaczął odstawiać – bo i do tego ma zdolność – to mówie panu, najcięższe choroby z łóżek powyskakiwali i pryskali, gdzie który mógł. Cały starozakonny szpital na równe nogi się zerwał.

Tak, tak, operus był chłopak i za bardzo wypierać go się pan nie potrzebuje! – powiedział z uznaniem pan Śmietanko, ale zaraz dodał, że mimo całej sympatii za to nabicie w karafkę przy pierwszym spotkaniu nie omieszka tak się na niem odegrać, że mój sobowtór znowi straci władzę w nogach na czas dłuższy.

Starałem się ułagodzić wzburzenie pana Śmietanki, oświadczając, że nie mam najmniejszego żalu do wesołego pana Gienia, gdyż jestem przyzwyczajony do sobowtórów.

Według krążących o mnie wieści uchodzę w niektórych kołach za starszego przodownika policji, chociaż nigdy nic wspólnego z policją nie miałem z wyjątkiem pewnego drobnego wypadku, który zresztą został objęty amnestią. Gdzie indziej znów uważają mnie za młodego studenta, względnie starszego adwokata z Grodziska.

Trudno. To są ciernie popularności, które znoszę w porcorze, pomnąc, ile wycierpieć musieli tacy ludzie jak słynny Hipiek Wariat albo Cichocki Szpicbródka.

Pijany kanarek

Pan Hipolit Rączka nie pije, nie pali, na wyścigi nie chodzi, ma tylko jedną niewinną namiętność: kanarki.

Niestety słabostka ta jest dość kosztowna, jeśli się zważy, że piękny turkot kosztuje kilkadziesiąt złotych. Toteż pan Hipolit musiał się kontentować posiadaniem jednego tylko egzemplarza imieniem Miecio, w sędziwym zresztą wieku i z lekka ochrypłym głose. Rzecz prosta, nie mogło to zadowolić wybrednego jego gustu i biedny człowiek długo czekał na okazję taniego kupna innego śpiewaka, aż wreszcie się doczekał. Znajomi donieśli mu, że pewien hodowca zamieszkały w Grochowie byłby skłonny rozprzedać po umiarkowanej cenie młode, świeżo opierzone kanarki, osobiście wysiedziane przez niezwykle rasową samiczkę.

Pan Hipolit mimo protestu żony spieniężył dwutrybową maszynkę do siekania mięsa oraz parę ślubnych lakierków i pojechał na Grochów.

Nie było go trzy dni.

Żona nie niepokoila się zbyt, gdyż wiedziała, że gdy człowiek niepijący zacznie przy jakiejś okazji pić, musi to potrwać nieco dłużej. Jakoż przewidywania jej były słuszne. Czwartego dnia pan Rączka zjawił się w domu bez kapelusza, z podbitymi oczami, zmizerowany, strasznie zataczają-

cy się na nogach, ale promieniejący jakąś wewnętrzną radością.

– Kupilem... sztuki buzi dać... Młodziak... flimon... doświadczenia w swoim fachu jeszcze nie posiada, ale się wyrobi... Głos cieniutki jak włos!

– No dobrze, ale gdzie go masz?

– W kieszeni...

Tu pan Rączka sięgnął do jesionki, wydobyl stamtąd torebkę od cukierków, otworzył i omal nie padł bez zmysłów.

Kanarek leżał bez życia. Nie wytrzymał trzy dni trwających targów, litkupu i podróży tramwajem z Grochowa na Ochotę.

Nikt nie zdołałby opisać rozpaczy pana Hipolita. Nieszczęsny miłośnik kanarków tłukł głową o szafę; wyrwał sobie włosy; rozdarł poduszkę i wypuścił wszystkie pierze. Nagle przy oknie rozległ się radosny śpiew Miecia. To zamiast pocieszyć pana Rączkę doprowadziło go do ataku szału.

– Gdzie sprawiedliwość? – krzyknął. – Młodziak w tramwaju życie oddał, a stary drań po klatce skika i denerwuje właściciela! Ale ja cie, cholero, wykończe, koło tego pętaka zimnem trupem położe, za to, że z cudzego nieszczęścia się cieszysz!

To mówiąc, zrozpaczony hodowca wziął w rękę laskę i otworzył drzwi klatki. Kanarek wyfrunął, zatoczył kilka okrążeń po pokoju i usiadł na szafie. Pan Hipolit zamachnął się laską i trafił w gąsior z wiśniowym sokiem. Trysnął rubinowy płyn, zalewając obficie pana Rączkę i pościel na łóżku. A Miecio z wesołym szczebiotem usiadł na żyrandolu. Nowy cios laską i z żyrandola pozostał tylko mosiężny szkielet.

Kanarek siedział na gzysie i śpiewał sobie dalej.

Pan Hipolit wlażł na krzesło, ale jego małżonka, nie chcąc dopuścić do całkowitego zdemolowania mieszkania, chwyciła go za nogi i ściągnęła wraz z firankami nam okno. Pękła antaba i owinięty w tiul pan Rączka z brzękiem szyb runął na ulicę, ciągnąc za sobą całą oranżerię roślin doniczkowych, które stały na parapecie. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że pod

oknem przechodził akurat miejscowy dzielnicowy. Jakkolwiek wchodził tu w grę parter, policjant zaskoczony niespodziewanym sfrunięciem nań pana Rączki w białym obłoku firanek padł jak długi na ziemię.

Rzecz jasna, że musiało się to skończyć protokołem i rozprawą sądową.

W sądzie pan Hipolit przyznał się do winy i powiedział, że z radością poniesie wszelką karę, ponieważ się okazało, iż młody kanarek nie zdechł, tylko stracił przytomność z powodu nadużycia alkoholu, bowiem pan Rączka karmił go w drodze z własnych ust.

Z powodu tak radosnego obrotu rzeczy sąd skazał pana Hipolita tylko na 50 złotych grzywny.

List uwiedzionej

Jak niewdzięczna jest czasem rola pośredniczki między zakochanymi, dowodzi niemiła przygoda, która spotkała pannę Olesię Kiełbikównę, uczynne dziewczę z ulicy Freta.

A było tak.

Panna Olesia jest bliską sąsiadką niejakiej panny Pelagii Wywrotek, która znów zaręczyła się rok temu z panem Karolem Skublińskim, malarzem pokojowym, jak wszyscy artyści bardzo niestałym w uczuciach. Przez pierwszy miesiąc pan Karol był jako tako wierny swej wybranej, ale gdy w przepisowym czasie po zaręczynach wspomniała mu, że należałoby pomyśleć o kupnie przyzwoitej kołyski na biegunach, ochłódł zupełnie i przestał bywać w panińskim pokoiku na Freta.

Rozżalona narzeczona przez wspólnych znajomych napomykała, że jeśli to się nie zmieni, będzie zmuszona zagotować garnek wody i złożyć z nim wizytę ukochanemu celem poparzenia mu oblicza.

Na razie jednak napisała czuły list, w którym nawet między wierszami nie można było nic wyczytać o ukropie. Wśród

zakłęk miłosnych niejasno tylko przewijała się obietnica poprzetrącania panu Karolowi gnatów, za pośrednictwem wuja uwiedzionej. Chcąc, by list doszedł adresata jak najprędzej, panna Pelagia nie powierzyła go poczcie, tylko uprosiła wyżej wzmiankowaną Olesię Kiełbik o wręczenie dokumentu plastykowi i przyniesienie ustnej odpowiedzi.

Pan Skubliński, zawiadomiony przez dozorcę, że na ulicy czeka poselstwo od narzeczonej, wyszedł przed bramę, odebrał list, nie czytając schował go do kieszeni i jako odpowiedź zbił pannę Olesię na kwaśne jabłko, dodając tylko w zakończeniu, że panna Pelcia ze stanu, w jakim ujrzy niebawem swą wysłanniczkę, winna się zorientować, jak by w przybliżeniu wyglądała, gdyby nie użyła pośrednictwa osoby trzeciej, a zjawiała się pod bramą sama.

Panna Wywrotek zrozumiała dokładnie myśl ubóstwianego mężczyzny, nie próbowała więc fatygować się już na rozmowę, tylko pospieszyła wraz ze swą pełnomocniczką do komisariatu.

Tam doradzono im wystosować umotywowaną skargę sądową, co też zostało uskutecznione.

Po miesiącu mistrz pędzla stanął przed sądem grodzkim i oświadczył, że absolutnie nie ma zamiaru zrywać z ukochaną kobietą, że izolując się na czas jakiś od niej pragnął tylko dokonać na sobie próby, czy potrafi żyć bez niej. Okazało się jednak, że nie, wobec czego w najbliższym czasie wprowadza się do niej z rzeczami. Jakkolwiek panna Olesia swym zjawieniem psuła mu bieg doświadczenia, nie za to dostała po krzyżu.

Chodziło o co innego. A mianowicie o robienie konkurencji poczcie przez doręczanie nieofrankowanych listów. Pan Skubliński dość ma malarstwa, stara się teraz o posadę listonosza, nie może więc dopuścić do podkopywania bytu instytucji, na której rozkwicie zamierza oprzeć swój dobrobyt i dalsze szczęście narzeczeńskie.

Mimo tych nieodpartych argumentów sąd zawyrokował dwa tygodnie aresztu...!...???

W cichą noc

Pan Wincenty Ciuchna jest karnym obywatelem, dla którego każde rozporządzenie władz to ewangelia, do jakiej nie tylko trzeba się stosować osobiście, ale jeszcze należy pilnować, by czynili to inni. Nic tedy dziwnego, że wracając nocy wczorajszej do domu pan Wincenty, pomny, że ma to być w myśl zarządzenia komisariatu rządu pierwsza „cicha noc” w stolicy, nie tylko szedł na palcach, ale jeszcze dawał baczenie, by inni przechodnie zachowywali się idealnie cicho.

W razie usłyszanej głośniejszej rozmowy pan Wincenty przystawał, przykładał sobie wskazujący palec prawej ręki do ust i patrząc surowo na zakłócających spokój szeptał:

– Ciiii!

Przebrnął tak z pół miasta, konstatuując z zadowoleniem, że mieszkańcy Warszawy na ogół szanują nadzwyczajne przepisy, gdy nagle stało się coś, co napełniło pana Ciuchnę zdziwieniem i najwyższym oburzeniem.

Dłuższe maszerowanie na palcach, nie stanowiąc zapewne nic specjalnie trudnego dla Lody Hałamy, mogło zmęczyć pana w średnim wieku, wracającego w dodatku z koleżeńskiego przyjęcia. Toteż pan Wincenty, przechodząc przez jezdnię na placu Napoleona, miał ruchy nieco balansujące i znużone. Prawdopodobnie skutkiem tego byłby wpaść pod przejeżdżającą taksówkę. Szofer w obliczu niebezpieczeństwa zapomniał o rozporządzeniu i rozpaczliwie zatrąbił. To właśnie tak wzburzyło pana Wincentego, że uchwyciwszy się latarni zatrzymał wóz i zawołał:

– Szoferak, co jest za trąbienie?! To pan nie czytałeś nowego paragrafu, jak się trzeba zachować wśród nocnej ciszy? Władzy nie szanujesz, łobuzie, trąbkie przyduszasz, spoczynek milionowej stolicy przerywasz?!

Gdyby kierowca się upokorzył i przeprosił pana Wincentego, skończyłoby się prawdopodobnie na tym lekkim monicie. Ale ponieważ zachował się nietaktownie i odburknąwszy coś na temat pijaków włóczących się po jezdni chciał jechać dalej,

pan Ciuchna zbladł i krzyknąwszy: – Ach, ty smolipysku, spirytusową mieszanką pędzony, ja cię nauczę idealną ciszę szanować! – pamiątkową laską wyrznął w boczną lustrzaną szybę.

Szkoło pękło z hałasem, czym zdenerwowany obrońca spokoju powybijał resztę szyb w taksówce, nie wyłączając latarni frontowych. Zdumiony szofer przyglądał się temu czas jakiś, ale wreszcie wysiadł i korbą starał się wyperswadować panu Wincentemu dalsze szerzenie zniszczenia. Ponieważ zachowywał się przy tym ordynarnie, używając głośno nieprzyzwoitych wyrażań, pan Ciuchna znowu musiał go uciszyć przy pomocy wyrwanego ze skwerku drzewka akacji.

Niezwykły ruch na ulicy pobudził okolicznych mieszkańców, którzy stojąc w oknach z przerażonymi minami obserwowali pierwszą cichą noc w Warszawie.

Na szczęście nadbiegła wkrótce policja i zabrała nie tylko niesfornego szofera, ale także i ofiarne go kontrolera wykonywania swych rozporządzeń! I jakże w tych warunkach współdziałać z władzami?

Nietakt pedikiurzysty

Czasem prosta i błaha na pozór sprawa sądowa może się stać przyczyną kompromitacji wytwornej kobiety, uchodzącej w szerokich kołach swych znajomych za nieprzystępną piękność.

Wypadek taki zaszedł właśnie wczoraj w XI oddziale sądu grodzkiego przy ul. Długiej podczas procesu pana Teofila Pietrasika o kradzież żrebakowej kurtki, sześciu par jedwabnych pończoch „cztery ósemki” oraz pół tuzina srebrnych łyżeczek do kawy.

Przyznać trzeba, że pan Pietrasik, posądzony o tę kradzież, z początku usiłował zachować dyskrecję i nie wyjawiać intymnych szczegółów, które mogły rzucić jakiś cień na za-

mieszana w to damę, panią Genowefę Karaluch, ale pod koniec załamał się psychicznie i wszystko powiedział.

Zresztą nie uprzedzajmy wypadków, które w opowiadaniu oskarżonego wyglądały następująco:

– Pokłóciłem się, proszę sądu wysokiego, z żoną i poszłem się uzalić do swojej cioci, ale cioci nie było w domu. Tu mnie żal serce ściska, tu ciocia nieobecna, nie wiem, co robić, aż w końcu pomyślałem sobie, że może ciocia bawi u pani Karaluch, bo są, jak to się mówi, serdeczne przyjaciółki. No to ma się rozumieć, idę do pani Karaluch.

– A ta pani Karaluch jest służącą u państwa O., gdzie popełniono kradzież? – pyta sędzia.

– Właśnie poniekąd tak jest. Przychodze, dzwonię i pytam się przez łańcuch, czy nie ma tu mojej cioci. Pani Karaluch mówi, że nie ma, ale wpuściła mnie do mieszkania i pyta się, jaki mam interes do cioci. Wtenczas opowiedziałem jej o swojej miłosnej tragedii, a pani Karaluch zaznacza, że także samo kochała się w jednym panu, którego potem kuferek jej oderwał, wziął 950 złotych i zegarek z bransoletką. Pani Karaluch z początku chciała go oddać w ręce policji, ale miłość przemogła i wzięła od niego 38 weksli po 25 złotych. Ma się rozumieć ani jednego łobuz nie wykupił.

Jak tak sobie opowiadamy, pani Karaluch nareszcie mówi:

„Panie Teoś, jeżeli tak się stało, że oboje za ofiary sercowego zawodu się zostaliśmy, to może pan się u mnie przemocować.”

– No i nocował pan tam cały tydzień – przerywa sędzia, zaglądając do akt.

– Detalicznie osiem dni, ale najmniejsza szczegółła z mojej ręki tam nie zginęła.

– No więc gdzież się podziało to futro, pończochy i łyżeczki?

– Nie moja rzecz, proszę sądu najwyższego. Tam po dwadzieścia osób dziennie nocowało, bo te państwo, gdzie pani Karaluch służy, wyjechali za granicę i pani Karaluch całe towarzystwo znajomych na noclegi zapraszała.

W tym miejscu oskarżycielka, pani Genowefa, osóbką liczącą na oko lat około pięćdziesięciu, imponującego wzrostu, spogląda z żalem na pana Pietrasika i mówi:

– I za co pan mnie tak obczernia, panie Teoś, za moje miętkie serce, za to, że zlitowałam się nad panem, jeść i pić dałam i te pare groszy na papierosy?

Niemile dotknięty w swej męskiej ambicji pan Teoś nie wytrzymał, podniósł dumnie głowę i odrzekł:

– No, ja się tam pani za to odwdzięczyłem, pedikur musiałem pani robić, bańki stawiać, smarować panią szanowną i w... ogólności.

Rewelacja z życia buduarowego pani Genowefy jest tak niespodziewana, że sala wybucha śmiechem, nawet sędzia z trudnością powstrzymuje uśmiech.

Nie chcąc wystawiać na widok publiczny dalszych przeżyć prywatnych oskarżycielki, sąd szybko kończy przewód, który wyjaśnia, że futro itd. ulotniło się z mieszkania razem z uprzejmym pedikiurzystą. Wyrok zapada łagodny, 6 miesięcy z zawieszeniem.

Ta ostatnia okoliczność była potem komentowana w kluarach, jak następuje:

– Łagodny wyrok dostał, bo faktycznie dosyć się młodziak nacierpiał. Pedikur takiej cholerze robić, bańkami takiego drakona od stóp do głów obstawić i jeszcze potem żywokostem ją nacierać... to męczące.

Symboliczna złotówka

Najpiękniejsze kobiety Marymontu ubiegają się od dawna o serce i względy perły tamtejszej złotej młodzieży, pana Konstantego Wypłoszka. Nikt by nie zliczył, ile serc przebitych strzałą Amora porzucił on na szlaku swych zwycięstw, aż trafił na ognistą o typie Carmeny brunetkę, pannę Eugenię Sitko. Po upływie kilku upojnych miesięcy pan Wypłoszek

zatęsknił widocznie do spokojnej, bez wstrząsów i burz, cichej sielanki, bo zwrócił swe afekty w stronę niebieskookiej, złotowłosej blondyny, panny Rozalii Kminkowskiej.

Okazało się jednak, że nie docenił walorów płomiennej brunetki, która absolutnie nie chciała zrezygnować ze swych praw do jego serca, i wszczęła akcję obronną, jaka zaprowadziła ją wreszcie przed sąd grodzki przy ul. Złotej. Według słów świadków akcja ta wyglądała jak następuje:

– Przyleciała, proszę sądu najwyższego, panna Sitko do mieszkania pani Kminkowskiej, na środku pokoju uklękła i zaznaczyła, że zmuszona będzie rudzielcowi ślepie wiotrolem wypalić, o wiele nie otrzyma na rękę pięćdziesiąt złotych.

– Za co?

– Bo tyle właśnie pan Konstany Wypłoszek miał podobnie na panne Kminkowskie wydać. Faktycznie kupił jej maszynki do siekania mięsa, durszlak, boty, do kina zaprowadził, przy bufecie postawił i kazał jeść, a także samo pić, ile jej dusza zamarzy, dwa złote dwadzieścia groszy sam bufet uczynił. A wszystkie sprawonki razem kosztowali czterdzieści dziewięć złotych.

Z dalszych zeznań tego świadka wynikało, że panna Sitkówna zaokrągliła żadaną sumę do złotych 50, wliczając w to symboliczną złotówkę strat moralnych.

Inny świadek, pan Teodor Smaczny, właściciel domu, w którym mieszka blondynka, stwierdził, że słyszał pogróżki, miotane pod jej adresem przez brunetkę, będąc na podwórzu, ale wszedł do lokalu, w którym tragedia miłosna się rozgrywała, dopiero wtedy, kiedy doszło do jego uszu, iż płomienooka mścicielka, oprócz pozbawienia wzroku rywalki, obiecała także obrócić w perzynę jego kamienicę wraz ze wszystkimi lokatorami.

– Jakżem to, proszę sądu najwyższego, usłyszał, wszedłem ma się rozumieć do mieszkania państwa Kminkowskich i zobaczyłem te daną osobistość, jak na środku pokoju klęczy i choleryje i zaznacza, że musi mnie dom spalić.

Wtenczas ja do niej mówię grzecznie:

„Dlaczego pani szanowna chce mnie taką krzywdę zrobić, przecież ja jestem osobą postronną i pani szanownej nie nadużyłem?” A ona nic, tylko że nafty kupi, schody podleje i dom z dymem puści.

Dwa tygodnie potem co noc z kubłem wody na schodach siedziałem, żeby w razie czego dom ratować.

Obietnice brunetki były wypowiedziane tonem tak poważnym, że prócz właściciela domu przejęła się bardzo także i blondynka, nie do tego wprowadzie stopnia, by miała zwrócić żądane pieniądze, ale w każdym razie nosiła przez dłuższy czas w skunksowej mufce duszę od żelazka owiniętą w gazetę.

Te wszystkie względy sprawiły, że sąd widział się zmuszony skazać pannę Eugenię za groźby karalne na jeden miesiąc aresztu z zawieszeniem na przeciąg lat trzech.

Ostatnia niedziela

Panowie Feliks Ptasikowski i Józef Królik postanowili skończyć z życiem. Powody po temu mieli bardzo poważne, przepili bowiem niemal doszczętnie sporą sumę uzyskaną za sprowadzone do Warszawy na wspólny rachunek mięso. Obaj zaś bardzo bali się żon, odznaczających się dużą wymową i nieobliczalnych w ruchach.

Postanowiwszy umrzeć, nieszczęśni współnicy wybrali z początku śmierć za pomocą powolnego zatrucia związkami chemicznymi CH_2OH czyli alkoholem i kazali dać jeszcze jedną butelkę wyborowej.

Ale agonia nadchodziła bardzo powoli, a pieniądze kończyły się błyskawicznie.

Trzeba było działać niezwłocznie, przyjaciele uchwalili więc, że udadzą się na dach drapacza chmur na Placu Napoleona, ucałują się po raz ostatni i złączeni w braterskim uścisku skoczą na dół. Już się podnieśli od stolika, już mieli zamiar